# LAICYZM.

Dziwaczny ten zarówno co do pochodzenia, jak i postaci gramatycznej wyraz, przyjął się już powszechnie w żargonie międzynarodowym dzisiejszej prasy i polityki także i w naszym języku, a niesamowita historja jego powstania i postać zewnętrzna dostosowuje się doskonale do pojęcia, które on wyraża — trafniej z pewnością, niż się spodziewają ci, którzy go ukuli i jako hasła w walce zaciętej z Bogiem i Kościołem ciągle używają. Pochodzi on od greckiego wyrazu *laikos*, ludowy, gminny, łacińskie *laicus*, niepoświęcony, z czego potem wytworzyło się znaczenie pochodne: niewykształcony, nieumiejętny, a więc barbarzyński. Tymczasem dziś uważają go za ostatni wyraz najwyższej kultury — oczywiście materjalistycznej, a więc naprawdę barbarzyńskiej — w przeciwstawieniu do kultury ducha, jaką daje chrześcijaństwo, słusznie usiłujące przeniknąć wszystkie dziedziny prywatnego i społecznego życia.

Po polsku wyraz ten oddają niektórzy przez „zeświecczenie", który to przymiotnik pochodzi od rzeczownika „świat" — ale rozumieć tu należy nie ten piękny, wielki świat, będący dziełem rąk bożych, ale ów świat, z którym tak energicznie walczył i tak nim pogardzał Chrystus, a za Nim aż do dziś dnia wszyscy Jego wierni wyznawcy i uczniowie. Wyraz „świat", wzięty w tem znaczeniu, streszcza w sobie wszystko, co przeciwne duchowi, życiu pozagrobowemu, a więc oznacza używanie najniższe, egoizm i pychę w praktyce, a w teorji zupełny materjalizm i patrzenie na to życie obecne jako na cel jedyny i ostateczny człowieka. Stąd też taki „świat" walczy ustawicznie z wiarą, z Bogiem, a książęciem jego, jak już Chrystus sam powiedział, jest ów duch przewrotny, Belzebub, wróg Boga i stąd i wróg człowieka, jako istoty noszącej na sobie obraz boży i mającej z Bogiem być złączoną w miłości wiecznej. Takim też był zawsze laicyzm, mieszczący i krystalizujący w sobie wszystkie nastroje i pragnienia swych twórców, szatana i człowieka-zwierzęcia, takim jest i dziś, gdy raz po raz zrywa się do walki zaciekłej z Bogiem i wszelką religją, a więc przedewszystkiem i na pierwszem miejscu z religją katolicką. W wielu państwach dzisiaj jest on prawie górą — inne, nasze przedewszystkiem, usiłuje objąć w swe panowanie, otacza powoli i przenika swą zgniłą, ogłupiającą atmosferą, by potem,

jak to widzimy w Francji, ująć bezczelnie panowanie nad całym narodem, chociaż w swej większości nawskróś katolickim.

Nic też dziwnego, że Ojciec św., świadom grożącego z laicyzmu narodom niebezpieczeństwa, w encyklice swej ostatniej o Chrystusie Królu tak wiele miejsca poświęca potępieniu tego błędu i wykazaniu, jak laicyzm całowicie sprzecznym jest z duchem Kościoła. To też bez przesady można powiedzieć, że ta encyklika, która jest encykliką społeczną, bo zajmującą się objawami, potrzebami i sprawami społecznemi, publicznemi, jest głównie skierowaną przeciw laicyzmowi.

„Dziś — mówi Ojciec św. w swej encyklice gdy rozkazujemy, by ogół katolików czcił Chrystusa pod imieniem Króla, tem samem uważamy, że podajemy jedno z najskuteczniejszych lekarstw... na zarazę, która społeczeństwo ludzkie nawiedziła. Zaraza naszych czasów nazywamy laicyzm, wraz z jego błędami i niegodziwemi dążeniami".

Wyraz laicyzm, w dzisiejszem znaczeniu, zrodził się blisko pół wieku temu, gdy w r. 1879 ustawodawstwo francuskie naznaczyło trzy przymiotniki, jakie ma odtąd posiadać wychowanie publiczne. Miało ono być mianowicie „bezpłatne, świeckie, (laïque) i obowiązkowe". Samo jednak pojęcie, chociaż w miarę stosunków inaczej formułowane, sięga jeszcze tych odległych czasów, gdy Kościół otrzymał wolność kultu i publicznie wystąpił jako matka i wychowawczyni narodów. Wtedy bowiem monarchowie, nadając wielkie przywileje Kościołowi i Jego sługom, biskupom i kapłanom, otaczając ich opieką urzędową i obdarzając majątkami, chcieli jednak zaraz Kościół pod swoją poddać władzę, przypisywali sobie nawet powagę w rzeczach duchownych i zapoczątkowali w ten sposób walkę między państwem a Kościołem. Walki te i ścierania inne przybrały formy na wschodzie, gdzie wnet bizantynizm objął w swoje uściski Kościół i sparaliżował jego rozwój duchowy, a przeszedłszy potem do Rosji i innych państw wschodnich, udaremnił wszelki wpływ wychowawczy Kościoła na ludy i przygotował je w ten sposób do przyjęcia tej najstraszniejszej, jaką świat zna, doktryny, bolszewizmu.

Na zachodzie, w państwach powstałych na gruzach imperium rzymskiego, Kościół był swobodniejszy bez porównania w wykonywaniu swych praw i swej działalności duchowej, cywilizacyjnej. Jednak pod względem doczesnym musiał i tu ze zmiennem szczęściem bronić swych praw wobec zbyt natarczywych opiekunów,

gdyż już Karol Martel (716 — 941) nagradzał swych żołnierzy dochodami z beneficjów kościelnych. Następuje potem długa, znana z dziejów walka o tak zwaną inwestyturę, zapomocą której władcy świeccy chcieli mieszać się w duchowe prawa Kościoła, aż wreszcie ów wielki papież Grzegorz VII w konkordacie w Wormacji, zawartym (1122), odsunął wpływ świecki na wybór papieży, biskupów, na synody i po większej części nawet na administrację dóbr kościelnych. Następuje teraz przez jakieś półtora wieku prawdziwa wolność Kościoła, na czele całego chrześcjaństwa stoi Ojciec Jego i Pasterz w Rzymie, nastaje królestwo Chrystusa na ziemi pod rządami Jego namiestnika papieża.

Moce ciemności jednak nie spały. Pod wpływem szkoły bolońskiej odżyło już w XIII-tym w. prawo rzymskie a pod jego wpływem prawnicy za podstawę praw wszelkich kładli prawa cesarza, zaś wszystkie przywilele i prawa chroniące swobodę Kościoła, były według nich dobrowolnemi ustępstwami, darowiznami, dokonywanemi przez władców świeckich, którzy więc mogli je cofnąć. W ten sposób przeciw Kościołowi występowała teraz nie siła już sama, ale zasady. Powstaje walka dwóch systemów, w której władza świecka rosnąc coraz bardziej w znaczeniu i sile, odrywa się, oddziela i usuwa od Kościoła i Jego wpływu nawet duchowego i staje raz po raz groźno przeciw wolnościom koniecznym i nienaruszalnym, bo od Boga pochodzącym, Kościoła. Ta walka i te prądy, które na dobre rozgorzały od czasów Filipa Pięknego (1285 — 1314) we Francji, przeniosły się wkrótce na wszystkie państwa Europy, a im w jakimś kraju władza świecka była potężniejszą, jak naprzykład we Francji za czasów Ludwika XIII-go i XIV-go, Henryka VIII-go w Anglji, Józefa I-go i II-go w Austrji i t. d., tem Kościół doznawał większego ucisku, i tem bardziej władcy świeccy mieszali się do spraw Kościoła, nawet czysto duchownych. W takim stanie rzeczy nietylko oczywiście rządy nie stawały się prawdziwie chrześcjańskiemi, lecz owszem słudzy Kościoła i Pasterze wiernych coraz bardziej świecczeli i tracili ducha Chrystusowego.

A na ducha tego niezmiernie zgubnie wpłynął także ów prąd wielki, który porwał w wir swój cały świat zachodni przy końcu średniowiecza i zapoczątkował nową erę w historji, prąd zwany renesansem. Kościół i Wiara św. nigdy nauki się nie boją, owszem papieże byli zawsze, jak są do dnia dzisiejszego najgorliw-

szymi mecenasami nauk, a cała cywilizacja zarówno średniowiecza, jak i czasów nowych zawdzięcza swe powstanie i rozwój Kościoła Chrystusowi, czyli chrześcijaństwu. Ale w czasach powstania renesansu, wraz z sztukami pięknemi i nauką, zaczerpniętą z wiecznie świeżych źródeł klasycyzmu greckiego i rzymskiego, zaczęto wlewać w umysły także i męty pogańskie, spoganienie, sceptycyzm, niewiarę, niemoralność. Runęła wspaniała philosophia perennis, ów jedynie prawdziwy system filozoficzny, wytworzony na tle systemów filozoficznych Platona i Arystotelesa przez genjuszów chrześcijańskich, zwłaszcza przez św. Tomasza z Akwinu, a w miejsce tej filozofji zapanowała nad umysłami systemy antychrześcjańskie, sceptyczne i materjalistyczne, az wreszcie wielka rewolucja francuska, na polu politycznem, a Kant i jego wyznawcy i logiczni następcy na polu myśli ludzkiej oderwały ostatecznie społeczeństwo od wpływu Kościoła, dokonały ostatecznie zeświecczenia, albo jak wtedy mówiono, sekularyzacji. Zbiera to wszystko w prostych, lecz niezmiernie treściwych i głębokich słowach encyklika: „Niegodziwość ta, mówi Ojciec św. Pius XI, o laicyzacji, nie dojrzewała w ciągu dnia jednego, ale kryła się już przedtem we wnętrznościach społeczeństwa. Rozpoczęto od zaprzeczenia panowania Chrystusa nad wszystkiemi ludami. Zaprzeczono Kościołowi prawa, które wynika z samego prawa Chrystusa, o nauczaniu rodu ludzkiego, ustanawiania praw i rządzenia ludami, by je prowadzić do szczęścia wiecznego. Powoli zrównano religię Chrystusa z religjami fałszywemi i zniżono ją haniebnie do ich rzędu; następnie poddano ją władzom świeckim i pozostawiono na łaskę książąt i rządów. Dalej jeszcze poszli ci, którzy sądzili, że należy religję naturalną, jakieś naturalne poruszenie duszy podstawić za religję boską. Nie brakło państw, które uważały, że mogą się obejść bez Boga, a religja ich polegała na bezbożności i pogardzie Boga.

Tych państw wprost bezbożnych, wspomianych przez Ojca św. jest na szczęście na razie dwa tylko w Europie, a może i na świecie, to jest bolszewja i Francja.

Ta sama Francja, która jest właśnie ojczyzną laicyzmu. Laicyzm dzisiejszy jest to wykluczenie religji ze wszystkich dziedzin życia społeczeństwa jako takiego. W ten sposób zlaicyzowano we Francji całe wychowanie, trybunały sprawiedliwości, armję, flotę, szpitale i wogóle wszystko, co stoi pod kontrolą władz

publicznych. Zlaicyzowano program wychowania, wypędzając ze szkół naukę religji, zlaicyzowano lokale szkolne, usuwając z nich krucyfiks, następnie podręczniki szkolne, wymazując z nich imię Boga i wielkie wyrażenia, któreby mogły przypominać idee chrześcijańskie, zlaicyzowano wreszcie nauczycielstwo, odbierając szkoły zakonom (Prawo z 30 października 2886).

Tak zlaicyzowana szkoła stała się szkołą bez Boga, a więc szkołą przeciw Bogu. Nazwano ją, dla usunięcia złego wrażenia, szkołą neutralną, ale jak sam Viviani powiedział w parlamencie, ta neutralność jest poprostu kłamstwem, „kłamstwem koniecznem". W r. 1884 rozciągnięto laicyzację także na rodziny, ustanawiając prawo o rozwodach, a szczyt laicyzacji osiągnięto w ustawie z 9-go grudnia 1905, gdzie w artykule 2. czytamy, że „republika nie uznaje żadnego kultu". Tak daleko nie poszło żadne państwo, o ile tylko sięga pamięć historji. To też w tym laicyzmie mamy, jak mówi biskup Grenoble, „nową religię". Jest ona ostatecznym wynikiem bezwzględnego racjonalizmu zastosowanego do życia społecznego.

Straszne skutki i spustoszenia tego laicyzmu stają się już widoczne dla wszystkich i coraz więcej umysłów głębszych nawołuje do odwrotu, by w chrześcijaństwie szukać ratunku dla ginącej pod obuchem laicyzmu obecnej cywilizacji. To też woła Ojciec św. w Encyklice: „Wielka nas ogarnia nadzieja, że doroczne święto Chrystusa Króla, które się teraz będzie obchodzić, nakłoni społeczeństwo, jak to jest pragnieniem wszystkich, do Najukochańszego Zbawiciela. Przygotowaniem i przyspieszeniem tego powrotu słowem i czynem byłoby zaiste zadaniem katolików".

A przedewszystkiem tych katolików, którzy, jak wszyscy nasi czytelnicy, kochają Boga nad wszystko i sami pragną żyć duchem Kościoła. Z pewnością ufać można i trzeba, że ta miesięczna Komunja św. za Polskę, do której ich zapraszaliśmy z tak obfitym skutkiem, przyczyni się niemało do powrotu naszego społeczeństwa pod rządy i chorągwie Chrystusa Króla. On zapewni nam i granicę i siłę i trwałość, zaiste więcej i bezpieczniej, niż tego dokonać mogą wszystkich lig traktaty i sojusze. Są one dobre i pożyteczne, ale najpożyteczniejszy i najbezpieczniejszy jest sojusz ścisły z tym Królem królów, Panem świata całego — z Chrystusem.

O ten sojusz, wewnętrzny i zewnętrzny zabiegajmy całą istotą naszą. W tym sojuszu z Chrystusem, zwyciężymy napewno.

—o—

## DYSPUTA RELIGIJNA W MOSKWIE.

Ks. Herbigny, o którego podróży do Rosji, odbytej przed kilkoma miesiącami w celach zaznajomienia się z tamtejszemi stosunkami religijnemi już donosiliśmy, opisuje w broszurze wydanej w Rzymie p. t. „Wygląd religijny Moskwy“, wielką dysputę religijną, jakiej był świadkiem w Moskwie 6-go października 1925 r.

Przybywszy do Moskwy 4-go października, zobaczył na murach rozlepione wielkie, białe ogłoszenia, któremi komisarz ludowy oświaty publicznej Łunaczarski, zapowiada na wtorek 6-go października konferencję antyreligijną. Jako jego oponent miał występować metropolita moskiewski Aleksander, Wwiedenski, jeden z przywódców ortodoksów, zwanych synodalnymi, którzy właśnie byli wtedy zgromadzeni w Moskwie na wielkim synodzie, na którym zasiadło 83 biskupów schizmatyckich, 200 kapłanów i tyluż świeckich. Dysputa ta miała się odbyć w olbrzymim „Teatrze doświadczalnym”, mieszczącym 600 miejsc numerowanych — a chociaż bilet wstępu kosztował pół rubla złotego, jednak wszystkie miejsca były zajęte.

Posiedzenie zapowiedziano na godzinę ósmą a już od siódmej tłum wielki zapełniał wejście do teatru, przewalając się na deszczu i śniegu. Lud, inteligencja, zrujnowani arystokraci, wszyscy byli jednakowo ciekawi słyszeć, co powiedzą za i przeciw religji.

Ks. Herbigny, przybył o godzinie wpół do dziewiątej. z dwoma biskupami ortodoksyjnymi, którzy ofiarowali się mu towarzyszyć do teatru. Skoro tylko „towarzysz dyrektor teatru“ dowiedział się o obecności profesora francuskiego, prosił go, by zajął miejsce na scenie z dwoma owymi biskupami. W ten sposób siedział ks. Herbigny w pierwszym rzędzie poza biurem. Resztę wielkiej sceny zajęły grupy młodzieży, prawdopodobnie kosmomolów, to znaczy członków stowarzyszeń komunistycznych, urzędniczek i studentek w czerwonych krawatkach, studentów, robotników, żołnierzy. W sali niema ani jednego miejsca wolnego: orkiestra, parter, loże, galerja, wszystko przepełnione. Publiczność jest spokojna, podczas dyskusji uwaga jej skupiona. Wszyscy prawie widzowie są w ubraniach biurowych lub robotniczych. Podczas długiego posiedzenia kilku całkiem młodych ludzi o twarzach dystyngowanych, o nazwiskach bardzo arystokratycznych stoi na rozkazy biura, by roznosić jego polecenia.

Towarzysz prezydent, robotnik dwudziestopięcioletni, o spojrzeniu żywem, lecz twarzy pokrytej chrostami, zachowuje się bez wszelkich ceremonij. Jego szara bluza robotnicza, bardzo krótka, spięta zwykłym skórzanym paskiem, musiała już długo odbywać służbę, lecz jest świeżo uprana, czysta. Wszystkie twarze i ręce są także czyste, niema popisywania się nieporządkiem. Sam tylko Łunaczarski sprawia wrażenie usiłującego nadać sobie pozory człowieka z ludu, umyślnie zaniedbanego. Wchodzi, mówi, trzymając ręce w kieszeniach spodni, surdut za krótki, pomięty, krawatka przekręcona,

kołnierzyk brudny; jest on sławny przedewszystkiem ze swych antyreligijnych występów. Czy nie gra nieco komedji?

Wchodzi około godziny dziewiątej, robią mu ogromną owację, trzy czwarte widzów wstaje. Inni, w liczbie ponad tysiąc, siedzą w milczeniu. Jest między nimi wielu kapłanów ortodoksów, biskupów ze swymi ikonami, przybyli po to, by swą obecnością dodać odwagi obrońcy wiary chrześcijańskiej.

Prezydent bez żadnych wstępnych przemów udziela głosu „towarzyszowi komisarzowi". Mowa jest długa. Przez godzinę i pięćdziesiąt minut Łunaczarski, przechadzając się wzdłuż i wszerz sceny, z miną dobrego dziecka i tonem rozmowy, usiłuje „wykazać" czczość religji i wartość materjalizmu. Bez żadnych uprzedzeń wyznać trzeba, że jego mowa odznaczała się marną płytkością.

Mówią o nim, że czytał wiele, włada licznemi językami, a dyplomaci obcy uważają go za człowieka, który umie zająć w rozmowie dowcipnem i żywem opowiadaniem. Jego obrona materjalizmu, zapewne zbyt często powtarzana, musiała go już przestać interesować, o ile wogóle sam w nią kiedykolwiek wierzył. Nie rozentuzjazmował obecnie publiczności. Treść jego wykładu, rozwałkowana, wygłaszana powoli, usiłuje znaleść w animizmie początek religij, a w kapitalicyzmie imperjalistycznym i w burżuazji widzi czynnik jej rozwoju. Teraz jednak, gdy niema cara, niema też już Boga. Wraz z kapitalistami i ze szlachtą znikli święci i aniołowie, księża muszą zniknąć także, religja niema już racji bytu. Na jej miejsce przychodzi praca, albowiem ona to zapewnia ruch, postęp, życie. Boga zastępuje praca, strąca ona z tronu burżuazję i kapitalizm.

Publiczność widocznie często już tego słuchała, nie była tem wzruszona, nie oddziaływało to na nią. Ani jeden oklask nie przerwał tej niekończącej się mowy. Brawa na końcu wyglądały raczej na zwyczaj, niż na entuzjazm.

Metropolita Aleksander Wwiedenski, który teraz wystąpił z mową, zaraz pierwszemi zwrotami zmusił do uwagi, zyskał słuchaczy, i poruszył ich do poczciwego, swobodnego śmiechu, który mu zapewnił powodzenie. Roztrząsając długie ustępy z mowy komunisty, do którego przemawiał zwyczajem rosyjskim po imieniu i dodając imię jego ojca, zapytał go, jakie przemiany polityka i dyktatura proletarjatu może sprowadzić w nauce, w jaki sposób prawda i nauka „robotnicza" mogą zająć miejsce prawdy i nauki „burżuazyjnej", i czy sowiet dojdzie kiedy do tego, by stworzyć inną arytmetykę, niż tę, w której dwa a dwa jest cztery. Jeżeli tedy prawda pozostaje nie wzruszona mimo rewolucyj politycznych i socjalnych, byłożby to rzeczą naukową mierzyć wartość religij wedle przemian formy władzy? By rozstrzygnąć problem między materjalizmem a idealizmem, ani siła, ani ilość nie ma żadnej wagi, lecz tylko prawda.

Tak rozpadała się w gruzy mowa Łunaczarskiego, gdyż nie opierała się na prawdzie. Metropolita mówił z łatwością i prostotą. Wysoka jego postać odbijała się ostro od szerokich fałdów czarnej, wschodniej sutanny, na piersiach miał oznaki władzy biskupiej i metropolitarnej, ikon i wielki krzyż z białego metalu i drugi mniejszy dokorta teologji. Bardzo młody —

ma lat trzydzieści sześć — bez brody, o wybitnie orlim nosie, stał przez więcej niż godzinę na przodzie sceny, po prawej stronie biura, nie przechadzając się, jak jego przeciwnik, i z początku nie gestykulując, mówił tonem poufałym, prostym, przenikającym, który stopniowo się ożywiał, by przy końcu wznieść się aż do najgorętszych uniesień wymowy prawdziwie potężnej i namiętnej. Słuchacze stali wkrótce pod czarem jego słowa, a mowca uchwycił ich w swe ręce i urabiał według swego upodobania.

Dziwny to widok przedstawiał ten tłum antyreligijny, który biskup podbił potęgą swych twierdzeń, wyrywając zeń sześciokrotnie okrzyki uznania prawie jednomyślne, gdy oddawał wymowne hołdy Bogu, religji, boskości Chrystusa. Wyśmiewając animizm przedstawił on badania nauki i filozoji nad naturą człowieka: czy człowiek jest tylko ciałem, czy ciałem i duszą? Zanim sam ze siebie odpowiedział, przytoczył on obfite świadectwa — bo takich potrzebowała ta publiczność, oddalona przeważnie od religji ułudami niby naukowemi — uczonych najświeższych, profesorów rosyjskich i obcych, biologów, chemików, lekarzy, oświadczających, że wszystkiego o człowieku nie można wytłumaczyć samą tylko grą materji i siły, zjonizowanych molekuł i oddziaływań fizycznych i chemicznych lub termodynamicznych. Dusza ludzka istnieje, zdolna do myślenia i czynu, niedająca się sprowadzić do praw materji, zdolna do chcenia i kochania, duchowa. Przez nią człowiek wychodzi poza materję, przystępuje do świata duchowego. Dusza poznaje i poznaje siebie, i ona to właśnie łączy razem zapomocą twierdzeń filozoficznych i naukowych rozmaitość zjawisk, ona poznaje świat i dochodzi do opanowania sił jego przez potęgę duchowej refleksji. Ale także idąc poza intuicję bezpośredniego doświadczenia, szuka wyjaśnienia ostatecznego własnego życia duchowego, jako ruchomej rzeczywistości wszechświata i pyta się: kto jest sprawcą świata i jej samej? I wtedy Bóg opanowuje jej uwagę. Duch najwyższy, wieczny początek wszelkiego bytu, Duch czysty, który jest pełnią rzeczywistości i życia, Bóg, którego w duszy samej doskonalej się jeszcze odnajduje, niż w świecie, Bóg, którego ona samorzutnie pragnie zasypywać podziękowaniami, adorować. To właśnie jest jej obowiązkiem, to jest religją...

Robotnicy, żołnierze, studenci, klaskali tak żywo, jak i kapłani. Dwie dziewczyny, które stenografowały, przestały pisać — słuchały. Łunaczarski, na scenie, wpycha aż do dna gardła długi ołówek, którego koniec dotychczas trzymał w ustach jakby papieros... Uśmiecha się z lekka, z oczyma wlepionemi w próżnię, a tymczasem ze wszystkich stron sceny i sali widzowie nadsyłają do biura mnóstwo małych, białych biletów. Jedni żądają tylko, by zgaszono silne lampy, które ustawione poza mowcą oświecały biuro, lecz oślepiały tych, którzy chcieliby śledzić grę fizjognomji metropolity. Inni jednak oświadczali swą gotowość zbijania mowcy. Prezydent, jego pomocnicy i posłańcy podnoszą się raz po raz, by zbierać te bilety, otwierać je, czytać, pokazywać sąsiadom, gromadzić na stole. Wreszcie zgasili lampy żądane, a Wwiedienski mówił dalej.

Religja, dowodził on, nie jest hypotezą, abstrakcyjnym wnioskiem jakiejś filozofji. Bóg, Stwórca duszy i Duch najwyższy, kocha dusze, zbliża się do ludzi. Przyjął sam duszę ludzką, wcielił się. Stawszy się człowie-

kiem, i pozostając Bogiem, Jezus Chrystus przedstawia ludziom ideał konkretny, żyjący.

Z zapałem, słowami tchnącemi wiarą i miłością, mówi metropolita o Jezusie Chrystusie, o Jego boskości, i posłannictwie. Taka mowa, na tej scenie, w tem teatrze, wobec tych widzów, w Moskwie w r. 1925 — jakaż to niespodzianka! Zdaje się, że słuchacze przejęli się sympatją do mowcy. Już tylko sam koniuszek ołówka wyziera z ust Łunaczarskiego.

Przypomniawszy, jakie przemiany dzieło Chrystusowe wprowadziło na świecie, zwłaszcza dla dobra robotników i ubogich, mowca zbliża się do ostatecznych wniosków. Towarzysz komisarz ludowy oświadczył z radością, że zniweczenie caryzmu było triumfem ateizmu. „Trzeba rozróżnić — mówi metropolita na to dalej — trzy rodzaje między tymi rosjanami, którzy nie chodzą do kościoła. Jedni, nieliczni, są to ludzie wykształceni, jak towarzysz Anatol Wasilewicz (t. zn. Łunaczarski, używa tu metropolita rosyjskiego sposobu tytułowania imieniem chrzestnem i imieniem chrzestnem ojca), i wykazałem, że nauka nie usprawiedliwia ani ich materjalizmu ani ich antyreligijnych twierdzeń. Inni, liczniejsi, nie studjowali sami, lecz mówią sobie, że towarzysz Anatol Wasilewicz jest bardzo dzielny, studjował wiele, a ponieważ jest on ateuszem, to i oni ateuszami być mogą. Wreszcie wielu z tych, którzy nie chodzą do kościoła, czynią to wbrew samym sobie, by żyć, by utrzymać rodzinę. Są oni funkcjonarjuszami państwowemi, obawiają się, by za chodzenie do kościoła nie pozbawiono ich stanowiska. Słusznie, czy niesłusznie, boją się oni. Tacy nie są ateuszami, lecz chrześcjanami...“ Tu koniec zdania utonął we wrzawie ogłuszającej. Mieszały się w niej oklaski i obelgi, ze sceny, z parteru, z lóż, wściekłe głosy wzywają mowcę, by ustąpił: „Lżycie nas! ustąpcie! nadużywacie wolności, którą wam dano! ustańcie! dosyć! dosyć! wypędźcie go!

Na prawej stronie sceny olbrzym jakiś o atletycznej budowie, rzuca się gestykulując i wyjąc poza delikatnym metropolitą, który spokojnie, nieruchomo, twarzą zwrócony do widzów, oczekuje końca wrzawy. Prezydent trzęsie dzwonkiem, małe białe bilety padają wokoło niego, gęściej, niż kiedykolwiek, Łunaczarski, zwrócony całkowicie do mowcy gryzie koniec swego długiego ołówka. Biskup siedzący po lewej stronie ks. Herbigny'ego, całkiem pobladły uchwycił go za ramię mówiąc: „Sądzę, że jest on nieroztropny, on ich drażni“. Po wielu minutach tumult się uspokaja. Metropolita ani nie drgnął, ni jednego nie uczynił ruchu. Prezydent wezwany przez innych, by nie pozwolił mu dalej mówić, lub by przywołał go do porządku, nie przystał na to: „Chcieliście słuchać zdania przeciwnego, więc ma on swobodę“.

Metropolita znowu zaczął mówić. Kolos, który dopiero co groził mu z tyłu, rzuca się nanowo i podaje mu długą kartę papieru, którą pokrył groźbami lub obelgami. Metropolita bierze kartę, rozdziera ją rzuca kawałki na około siebie i zaczyna dalej z coraz to rosnącą siłą: „Materjalizm, mówił, którego zresztą wyparła się nauka, przeszkodziłby postępowi ludzkości, jest on bowiem z istoty swej fatalistyczny, bierny, obojętny na dobro moralne. Przeczy on duchowi, ogranicza jego zakres działania, zacieśnia wszystkie horyzonty. Popiera natomiast egoizm pod formami najnę-

dniejszemi, zmniejsza człowieka. Pragniecie, ażeby on rządził światem, tymczasem on jest tylko zapóźnionym prowincjonalizmem, zamyka życie ludzkości między początkiem małpim a rozpaczliwem bagnem. Materjalizm nie jest ani prawdziwym, ani dobroczynnym, ani pięknym. Chrześcjanin natomiast ze swym ideałem urzeczywistnionym w Chrystusie, usiłuje naśladować Tego, który mu mówi: „Przyjdźcie do mnie wszyscy, którzy cierpcie i jesteście obciążeni“. Nie mówię o tych, którzy nadużywają chrześcijanizmu do tego, by zapanować nad innymi ludźmi, lub by używać swych bogactw, nie wspomagając innych, nie kochając ich. Mówię o chrześcjaninie prawdziwym, który czcząc swego Ojca niebieskiego, winien kochać wszystkie dzieci tego Ojca jak braci. Jakiż horyzont przed nim się roztwiera! Zamiast egoizmu, jego dusza rozszerza się aż do powszechności miłości bożej. Pragnąłby on nie niszczyć obrazów świętych, ale by świat cały zaludniali święci to znaczy ludzie poświęcenia, porwani i na wskróś przejęci miłością Boga i bliźniego. A równocześnie, zamiast by wszystko kończyło się dla niego przy grobie, pomiędzy robakami, przygotowuje się on do życia pozagrobowego, szacunkiem otacza każdego z tych ludzi innych, których ma odnaleść w wieczności, i w których dostrzega obraz nieśmiertelny Ojca wspólnego i Jego Syna, Chrystusa, przyjaciela ludzi, przedewszystkiem, pokornych ubogiego i Tego, który sam był robotnikiem“.

Mowca kończy wreszcie coraz głośniej, wielkim wysiłkiem głosu i organizmu, składając raz jeszcze hołd wiary i miłości „temu idealizmowi chrześcjańskiemu, który nie jest tylko poezją, a tem mniej nie jest jakąś chorobą nerwową. Religja chrześcjańska jest prawdą, a równocześnie i pięknem, ona określa jasno i ściśle ludzkości nietylko, czem jest Bóg, ale także czem jest sam człowiek i czem jest społeczeństwo. Chrystus jest jedynym Zbawicielem ludzkości, od niego i od tych, którzy w niego wierzą, otrzymuje ona aż do końca czasów źródło żyzne rozwoju i radości“.

Słuchacze są głęboko wstrząśnieci, poruszeni. „My nie mamy nikogo, któryby tu tak mówił, jak ten biskup“ szepcze do drugiej jakaś kobieta w czerwonej krawatce. Oklaski rozlegają się nawet na scenie, większość słuchaczy powstała. Wielu, którzy wchodząc uważali się za ateuszów, drgając całą swą słowiańską duszą, czują się teraz chrześcjanami. — Jest już prawie północ, Wwiedienski, pokryty potem, siada. Łunaczarski, odrzuciwszy głowę w tył na tylne oparcie krzesła, z nogami wyciągniętemi, gryzie ołówek. Z oczyma zamkniętemi, ręce w kieszeniach, wyglądał, jakby usnął.

Wreszcie podnosi się na nowo. Przez kwandrans usiłuje zniszczyć skutek słów chrześcjańskich. Drwi z obawy, jaką Wwiedienskiego napełniają małpy i robaki. Pyta się, ile cudów widział jego przeciwnik i słuchacze? „i kiedy modlitwa sprawiła, by rosło zboże lub kiedy deszcz powstrzymała?“ Praca tylko plon daje, praca, którą materjalizm kieruje i udoskonala. Bez pracy świat by zginął, podczas gdy zaprzeczenie Boga nie sprawiło nic złego tym, którzy Go uważają za bezużytecznego. Niech Wwiedienski trzyma sobie Boga, Chrystusa, świętych, religję. Łunaczarski odstępuje to wszystko chętnie, byle mu pozostała praca i nauka“.

Te szyderstwa niewielki odniosły sukces. Niektórzy przyjęli je kilkoma wybuchami śmiechu, lecz główna masa publiczności pozostała nieczułą. Po-

siedzenie się skończyło. Było ono naprawdę sukcesem, prawie triumfem wiary chrześcjańskiej.

—o—

## *WIELKI POST.*

*Ten czas na przełomie zimy i wiosny, czas walki między martwotą przyrody i pętającemi jej siły żywotne mrozami, a wybuchami tych sił coraz częstszemi i gwałtowniejszemi, aż pod odżywczemi promieniami słońca legnie śmierć a życie zaświęci triumf, czas w którym rolnik spożywając nieraz resztki żywności, najlepsze zeszłoroczne ziarno z żalem ale i z nadzieją rzuca w glebę, by tam zamarłszy, wydało znowu plon i rozmnożyło się ku życiu — jest niezmiernie podatnem tłem dla tych nastrojów, jakie Kościół w swej liturgji i w swych przepisach postnych pragnie w nas wzbudzić. Na początku tego czasu popielec, to znaczy przypominanie, że i nas kiedyś w ziemię wrzucą, jako to ziarno na siejbie i że my także umrzeć, owszem w proch obrócić się musimy, zanim zakwitniemy na żywot wieczny owem kwieciem i zielenią nigdy nie więdniejącą — a na końcu tego czasu gorzkie pamiątki Męki Chrystusa i krzyż goły nad grobem naszego Zbawiciela — a przez cały ten czas walka ze sobą wzmożona, walka z duchem przez rozmyślanie najbardziej wstrząsających tajemnic wiary, walka z ciałem przez post i umartwienie.*

*Jak pierwsi chrześcijanie obchodzili okres przygotowawczy do pamiątki śmierci Zbawiciela i Jego Zmartwychwstania, tego dziś nie wiemy. Chociaż bowiem Ojcowie Kościoła piątego wieku, jak święty Leon († 461 r.), historyk Sokrates († 433), święty Hieronim († 420) są zdania, że wielki post czterdziestodniowy ustanowili już Apostołowie, a św. Leon zachęca swych słuchaczy, by poszcząc przez ten czas „wypełnili swym postem ustanowienie apostolskie dni czterdziestu“, to jednak nowsi historycy katoliccy jak Funk i inni wykazali ponad wszelką wątpliwość, że w ciągu trzech pierwszych wieków chrześcijaństwa nie można dostrzec śladów właściwego postu wielkiego (Vacandard, Dictionaire de Théologie). Najdawniejsze wiadomości o przygotowawczym do Wielkiejnocy poście pochodzą dopiero z końca drugiego wieku, mianowicie z okazji sporu między papieżem Wiktorem a biskupami Azji. Św. Ireneusz pisząc w tej sprawie do papieża Wiktora mówi, że doktorzy katoliccy nie zgadzają się między sobą*

*nietylko co do dnia Paschy, ale i co do początku postu przed nią obchodzonego. „Jedni sądzą, pisze św. Ireneusz, że trzeba pościć dzień jeden, inni, że dwa, inni trzy, u innych wreszcie post ten trwał czterdzieści godzin“. Zwracają jednak historycy uwagę, że trzeba tu rozumieć post zupełny, bez przerwy przez dzień lub dwa i t. d. trwający. Prócz tego jednak, jak widać z Tertuljuna w w. trzecim, zachowywano post połowiczny, to jest jedzono tylko chleb i wodę we środy i piątki, a gorliwi przeciągali ten post aż do soboty. Wszyscy zaś katolicy pościli zupełnie przez wielki piątek i sobotę „dla przykazania pańskiego“, gdyż, jak pięknie mówiono, „w dniach tych wzięto Oblubieńca“.*

*Już jednak kanon 5-ty soboru nicejskiego (325 r.) przepisuje biskupom, by odbywali synody dwa razy do roku, celem uregulowania losu ekskomunikowanych, i poleca, by jeden z tych synodów odbywał się przed okresem czterdziestodniowym. Duchesne przypuszcza, że był to okres pokuty i modlitwy, przygotowania do chrztu u jednych, do zdjęcia ekskomuniki u innych, zaś dla wszystkich chrześcijan jakby okres rekolekcyj i skupienia. Oczywiście post i modlitwa musiała tu pierwsze zajmować miejsce.*

*Jednak ten okres czterdziestodniowy był czemś odrębnem od postu przed paschą, był jakby do niej przygotowaniem. Widać to jasno naprzykład ze słów św. Jana Chryzostoma: „Oto — mówi on — przybyliśmy szczęśliwie do końca czterdziestodniowego postu, i skończyliśmy żeglugę postną i dzięki Bogu dobijamy do portu... Teraz, gdyśmy przybyli do wielkiego tygodnia, trzeba z tem większym zapałem przebyć drogę postną“. Podobnie mówią t. zw. Konstytucje Apostolskie, które pochodzą z IV wieku i przedstawiają ówczesne zwyczaje w Syrji: „Po czasie Epifanji należy zachować post wielki... Lecz ten post trzeba odprawiać przed postem wielkanocnym“. Oba te okresy razem trwały rozmaicie. Według relacyj, jakie mamy z wieku czwartego z Jerozolimy, post wielki trwał ośm tygodni, ale tylko przez pięć dni w tygodniu, soboty bowiem i niedziele były od postu wyjęte. Sobota wielka zaś stanowiła właściwy post wielkanocny. Potem ściągają ten post do sześciu tygodni, a papież św. Leon (440—461) naznacza na post wyraźnie dni czterdzieści na pamiątkę czterdziestodniowego postu Chrystusa na pustyni. Ponieważ jednak sześć tygodni, nie licząc niedzieli, w której się nie pości, tworzyło tylko dni 36, więc już w siódmym wieku zaczynano*

*post cztery dni przedtem, w środę popielcową — i ten zwyczaj dotrwał do dzisiaj.*

*Posty ówczesne były niezmiernie surowe. Nietylko nie pozwalano na mięso, ale i ryby były początkowo zakazane i „wszystko, co z mięsa pochodzi", zatem mleko i jaja. Brano posiłek tylko raz na dzień i to wieczorem, a posiłek ten podczas wielkiego postu był bardzo skromny: chleb, suszone jarzyny, woda i sól — oto wszystko. Nie wolno było używać nawet wina. Św. Augustyn występuje ostro przeciwko tym, którzy obchodząc nieco ten zakaz, zamiast wina pili wino z owoców lub jagód. Podczas wielkiego postu odprawiano mszę św. o godzinie trzeciej popołudniu, to jest po kanonicznej nonie, poczem odmawiano nieszpory, dawano jałmużnę biednym i dopiero wtedy zabierano się do skromnego obiadu. Wieczerzy ani śniadania w dni postu wielkiego nie jedzono.*

*Już w średnich wiekach zaczyna się jednak ta surowość nieco rozluźniać. Św. Tomasz z Akwinu w w. XIII-ym pozwala na picie wina przy jedzeniu, a nawet poza jedzeniem i na małą kolację, złożoną z lekkich pokarmów, jak owoce suszone, konserwy owocowe i t. p. Już przedtem pozwalano na ryby, a od w. 16 zaczęto powszechnie pozwalać na jedzenie obiadu w południe i dlatego nieszpory przesunięto na godziny przedpołudniowe.*

*Dzisiaj postanowienia o poście są bardzo łagodne, zniesiono tak zwane posty suche, bez nabiału, wolno używać ryb i zjeść lekkie śniadanie, lekką kolację, pić mało pożywne napoje — ale znosząc te zewnętrzne pokuty i umartwienia, Kościół święty bynajmniej nie uwolnił wiernych od innych, bardziej jeszcze istotnych praktyk pobożnych i uczuć, jakim się oddawać należy w tym świętym czasie, poświęconym przedewszystkiem przypominaniu okrutnej Męki naszego Pana i Zbawiciela. Nie mogąc, czy nie chcąc pościć tak surowo i ściśle, jak to czynili chrześcijanie dawnych wieków, winniśmy ciągle pamiętać, iż czas wielkiego postu, to czas pokuty, odrywania się od rzeczy ziemskich i światowych przyjemności. A więc nie wolno nam bywać na tańcach i hucznych zabawach, nie wolno urządzać uczt obfitych i wykwintnych, domy i rodziny chrześcijańskie powinna osłaniać jakby jakaś żałoba wewnętrzna, powaga i skupienie, a im więcej świat o tem wszystkiem zapomina, tem bardziej my, którzy Chrystusa tak kochamy*

*i którzy wierzymy, jakie potężne, nigdy nierozerwalne węzy z Nim nas łączą, my tem więcej całem zachowaniem się mamy przypominać sobie i innym, że jesteśmy prawdziwymi chrześcijanami.*

*A przedewszystkiem musimy pamiętać o tej najgłówniejszej potrzebie serca i umysłu, dla której głównie Kościół św. ten czas wielki i pełen tajemnic a prześlicznych, głębokich obrzędów, ustanowił, mianowicie o rozmyślaniu o Męce Chrystusa. Wiemy przecież, że z owoców tej bolesnej Jego Męki żyjemy wszyscy, na niej wspiera się Eucharystja, inne sakramenta i wszystkie łaski boże i z niej rośnie wszystko, co dobre i szlachetne w tem życiu, ona ma nam zapewnić szczęście wieczne, bo tylko Krzyż i Męka Chrystusa otwiera przed nami bramy niebios. Jednem słowem żyjemy i czerpiemy wszyscy wyłącznie z tego kapitału, z tego niezmiernego skarbu duchowego, który Chrystus nasz Męką Swoją nagromadził i nam przez ręce Kościoła św. przekazał.*

*A myśląc o tem, pamiętajmy jeszcze o dwu rzeczach. Najpierw, że jak uczą teologowie, Chrystus cierpiał za każdego z nas z osobna, tak, że gdyby tylko jeden z nas potrzebował odkupienia, za tego jednego Chrystus oddałby życie. A drugie, że na historję Męki Chrystusowej nie można patrzyć, jak na coś całkiem przeszłego, bo gdy Chrystus cierpiał, miał grzechy i potrzeby każdego z nas przed oczyma najszczegółowiej, za każdy taki szczegół naszego życia cierpiał i pokutował. My więc niejako i teraz, obecnie, życiem naszem do Jego Męki się przyczyniamy. Jako Bóg bowiem, a także i jako człowiek, jak nas uczy św. Tomasz z Akwinu, wiedział i przewidywał Chrystus wszystko, co kiedykolwiek jakie rozumne stworzenie myśli i czyni. I tak więc każdym grzechem przyczyniamy się, albo przyczyniliśmy się do Męki Chrystusowej. Jak to się dzieje, tego rozum nasz pojąć nie może, lecz to pewne, że tak jest i że w tych słowach, które tak często zwracają się do grzeszników, iż grzechami swojemi krzyżują i męczą Chrystusa, niema żadnej przesady, ani też nie jest to obrazowy sposób mówienia, lecz prawdziwa, twarda rzeczywistość. A pamiętajmy jeszcze o tem, że niema we wszechświecie całym istoty, któraby tak gorącem i szlachetnem sercem, jak On, miłość swą nam dawała i troszczyła się o nasze szczęście zarówno doczesne, jak i wieczne.*

*Tej miłości dowody dał nam kładąc za nas życie i to w tak*

*okrutny sposób, o tej miłości myślmy w czasie Wielkiego Postu i starajmy się Mu za nią wywdzięczyć, ofiarując Mu siebie całkowicie.*

—o—

## Katolicyzm w Ameryce.

Znany miesięcznik katolicki „The Month“, wychodzący w Londynie, zamieszcza w zeszycie lutowym b. r. niezmiernie interesujący i głęboki artykuł o położeniu katolików w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, który wywarł duże wrażenie w świecie katolickim. Dla nas Polaków jest on ważny nadto ze względu na nasz stan posiadania narodowego w Ameryce, który od pewnego czasu jest tam bardzo mocno z różnych stron zagrożony. Dlatego też uważamy sobie za obowiązek z tym artykułem czytelników zaznajomić.

Klucz do zrozumienia położenia katolików w Stanach Zjednoczonych — czytamy tam, leży w dwu oddzielnych faktach. Pierwszy z nich to ten, że Kościół, jak państwo, jest w ciągłym stanie zmiany i to, co podaje się o jego położeniu pięć lat temu, dziś już nie jest prawdziwe. Opisy podróżników z przed lat dziesięciu można z wielkim pożytkiem wyrzucić. Drugim faktem jest ta okoliczność, że katolicy amerykańscy żyją w kraju paradoksalnym, który co do ludności jest przeważnie protestanckim a natomiast szeroko katolickim co do swej myśli i teorji politycznej. Dwa te fakty jasno uświadomione pomogą do wyjaśnienia wielu zjawisk, które inaczej stają się niezrozumiałemi.

Przegląd stosunków, jaki teraz podajemy, pójdzie po tych właśnie dwu linjach.

### OŚRODEK NIEKATOLICKI.

#### Stosunki ogólne.

Niektóre fakty wybijają się wyraźnie dla każdego, kto rzuca oko na scenę świata amerykańskiego, by przypatrzyć się jego religijnym stosunkom.

*Po pierwsze*, ludzie świeccy opuścili kościół protestancki. Prasa świecka, codzienna, tygodniowa i miesięczna jest wogóle bardziej niż kiedykolwiek wrogą dla ortodoksyjnych sekt protestanckich, i darzy uznaniem i sympatją liberałów i buntownicze grupy, jakie wśród sekt tych powstają. Kościoły protestanckie, w przeciwieństwie do kościołów katolickich, są w wielkich miastach w niedzielę bardzo nielicznie odwiedzane.

*Po drugie*, kler protestanckich kościołów dzieli się w sprawach religijnych na dwie bardzo na siebie rozgoryczone grupy, mianowicie na tak zwanych modernistów i na fundamentalistów. Kościół episkopalny, czyli anglikański, ma bardzo wielu modernistów. Prezbyterjanie natomiast, czyli kalwiniści, mają także wielu, a mniej, lecz także liczni, są oni między baptystami i metodystami.

Boskość Chrystusa i narodzenie Jego z Dziewicy była roku zeszłego i pozazeszłego głównym przedmiotem dysput; tego roku była nim ewolucja, który to problem zawiera w sobie całą kwestję istnienia Boga wszechpotężnego, samodzielnie bytującego, duchowego. Te wszystkie jednak przedmioty dysput były tylko symbolem innego zasadniczego tematu dysputy, walki, toczonej między protestantami ortodoskyjnymi a liberalnymi, mianowicie walki o Biblję. Ortodoksi usiłowali utrzymać powagę Biblji jako reguły wiary, zaś liberalni odrzucali wszelką powagę w religji jako środka do zdobycia prawdy.

Ortodoksi tracą ustawicznie grunt pod nogami, z powodu braku logicznej podstawy dla swej powagi, odkąd odrzucili powagę Kościoła. Liberali widzą to dobrze, istnieje też nadzieja nawrócenia tych protestantów, którzy szczerze pragną zachować chrystjanizm tradycyjny, i których zaślepienie nie jest tak wielkie, by nie można im uwidocznić, że mogą to osiągnąć tylko opierając swą wiarę na nieomylnym Kościele.

*Po trzecie*, protestanci czynią rozpaczliwe wysiłki, by zatrzymać swą władzę nad masami, które niegdyś stały pod ich wpływem, a teraz z pod niego się wymykają. Wysiłki te przybierają rozmaite kształty. Jednym z najzwyklejszych jest olbrzymia reklama i rozmaite sposoby senzacyjne, by ściągnąć tłumy w niedzielę do kościoła. To też jest jedną z trzech pobudek, któremi się kieruje ów groteskowy Ku Klux Klan, o którym dokładniej bedzie mowa później. Klan przywodzi znowu wielką liczbe ludzi pod wpływ kościołów protestanckich. Zasadniczą stroną wszystkich tych wysiłków jest brak formuł dogmatycznych i teoretycznych.

*Po czwarte*, poza „chrześcijanami biblijnymi“ i modernistami nurtuje jeden jeszcze prąd, lecz mniej potężny, w kościołach protestanckich, złożony z tych, którzy głoszą chrześcijaństwo socjalne. Ci nie dobijają się o władzę polityczną, ani nie używają siły, nie mają dogmatów ani też nie są fanatykami, a pracują tylko dla dobra i to przeważnie doczesnego ludzkości, uważając to za główny cel chrystjanizmu. Organizacja ich jest duża i zwie się Związkową Radą Kościołów.

*Po piąte*, wychowanie protestantów jest prawie całkowicie światowe, to znaczy „neutralne“, „świeckie“, „bez Boga“ i jest w rękach państwa. Religji, o ile wogóle jej tam uczą, uczą w szkołach niedzielnych, które są licznie uczęszczane w okregach rolniczych, słabo w miastach. Widocznym wynikiem takiego wychowania jest, jak tego można było oczekiwać, zupełna obojętność u wielu dla religji i jej kultu.

## Stosunki szczegółowe.

Te fakta ogólne wytwarzają swoiste stosunki, dotykające katolików w Stanach Zjednoczonych. Te stosunki przedstawimy pod rozmaitemi tytułami, odnośnie do tego, jak są znane najlepiej szerokiemu światu.

1. — *Ku Klux Klan. Ta tajna organizacja powstaje z bardzo skomplikowanej grupy* przyczyn. Jej nature i źródło można najlepiej zrozumieć z programu tej organizacji. Brzmi on, że jej członkowie pracują dla „białej, inteligentnej, protestanckiej, północnej Ameryki“. Znaczy to, że pragną oni, by Stany Zjednoczone były w rekach ludzi rasy białej, a więc są przeciwnikami wszystkich ras czarnych i żółtych; chcą, aby Ameryka była protestancką, a więc występują przeciw „niebezpieczeństwu rzymskiemu“, jest ich życzeniem, aby była Ameryką północną, a więc są przeciwnikami wszelkiej imigracji z południowych i południowo-wschodnich krajów Europy.

Jasną jest tedy rzeczą, że organizacja ta działa przedewszystkiem zapomocą uprzedzeń religijnych i rasowych. Ci jej członkowie, którzy są w dobrej wierze, — a jest ich niewątpliwie wielu — kierują się godziwemi pobudkami patrjotycznemi, spaczonemi w rozmaitych celach jednak i sfałszowanemi przez przywódców. Członkowie ci wierzą szczerze, że Kościół katolicki stanowi groźbę dla wolnych instytucyj Stanów Zjednoczonych, a mają za sobą wieki całe fałszywego zrozumienia i przedstawienia nauki i praktyk katolickich. Do większego powikłania sprawy przyczynia się tu jeszcze fakt nieszczęsny(!)*), że imigranci

*) Z tego wyrażenia widać, jak nawet sfery katolickie pragną zamerykanizowania imigrantów i odebrania im odrębności narodowej. (Przyp. Red.).

ostatnich lat dwudziestu, przeważnie katolicy, żyją razem w kolonjach, mówią swym ojczystym językiem, posiadają własne szkoły, gazety, własne kościoły i t. d. Są to jakby wyspy europejskiego życia, wpośród Amerykan, leżące całkowicie lub prawie całkowicie poza prądem życia amerykańskiego. — Dodać do tego trzeba, że pośród wielkiej części ludności protestanckiej panuje silny przesąd przeciwko katolikom, oparty bądźto na obawie, że papież będzie chciał rozciągnąć swą kontrolę nad rządem amerykańskim, bądź na dziwacznych pojęciach o katolickim „zabobonie". Jasną jest rzeczą, że wszystko to może się łatwo zejść razem, by utworzyć bardzo groźny program walki rasowej i religijnej.

Kim są przywódcy Klanu i jak silną jest ta organizacja? Prawie w każdym wypadku stwierdzono, że przywódcami publicznymi są ludzie nikczemnego życia, którzy używają tego ruchu do rozmaitych celów finansowych, osobistych lub politycznych. Jednak główną sprężyną, kryjącą się poza tym ruchem, są niewątpliwie grupy duchownych protestanckich. Jedni z nich spodziewają się mianowicie przywieść napowrót masy do posłuszeństwa władzom kościelnym, inni znowu zmierzają do politycznego wpływu nad Stanami Zjednoczonemi. Klan nazwano też słusznie „ramieniem świeckiem Kościoła metodystyczrego". Powiedzenie pełne ironji: chociaż jednym z celów ich jest „rozdział Kościoła od państwa", jednak zmierzają do połączenia państwa z kościołem, mianowicie z ich własnym, poszczególnym kościołem.

Jest rzeczą trudną osądzić, jak silnym jest ten ruch. Lista jego członków jest tajna, lecz głosi on wszędzie, że ma członków bardzo wielu. Obecnie opanował on już pod względem politycznym cztery stany, mianowicie Maine, Colorado, Indiana i Oregon, a nadto ma znaczną potęgę w kilku stanach południowych, w których powstał początkowo. Jest on silniejszym tam, gdzie jest mniej katolików, słabszy w miastach, niż na wsi. Natomiast w sprawach narodowych, czyli związkowych, tyczących całych Stanów Zjednoczonych, znaczenie jego jest albo bardzo małe, albo żadne.

### Różnice dogmatyczne.

W Stanach Zjednoczonych przyczyną dużego zaburzenia było inne jeszcze zjawisko, mianowicie zażarte spory w kwestjach religijnych pomiędzy przeciwnemi sobie kierunkami myśli pośród protestantów. Aby to zrozumieć, trzeba sobie przypomnieć, że przez lat siedmdziesiąt pięć prawie wszyscy protestanci wychowywali się w szkołach publicznych, które tworzą zupełny system wychowania ludowego, średniego, kolegjackiego i uniwersyteckiego pod nadzorem państwa. Szkoły te pod względem religijnym są „neutralne", to znaczy nie zaprzeczając istnienia Boga i innych zasadniczych prawd religijnych, jednak prawd tych nie wciągają nigdzie w swój system. Nadto większa część profesorów uniwersytetu to materjaliści, ateiści lub agnostycy, a ich poglądy przesiąkają oczywiście przez cały system wychowawczy. W ostatnich czasach protestanci prawowierni odkryli z przerażeniem, że u nich znaczna większość ludzi wykształconych, nawet wśród kleru, praktycznie należy do niewierzących, albo co najwyżej, a to jest jeszcze niebezpieczniejsze, mają pod względem religijnym poglądy całkiem modernistyczne. Ruch ten modernistyczny rozwijał się spokojnie, aż dopiero trzy lata temu zaczepiono go publicznie. Moderniści natychmiast wystąpili zaczepnie, przecząc tej prawdzie, że Chrystus narodził się z Dziewicy i wogóle odrzucając Bóstwo Chrystusa, a ubiegłego i obecnego roku występują z propagandą ewolucji monistycznej, która jest u nich wprost zaprzeczeniem istnienia Boga chrześcijańskiego, oddzielnego od świata, wszechmocnego Stworzyciela. Wielu modernistów, chociaż odmawiają dalej wyznanie wiary nicejskiej, czynią to jednak w znaczeniu czysto „symbolicznem", to znaczy pragmatycznem i subjektywnem. Prawie wszystkie czasopisma

poważne i popularne stanęły w obronie poglądów modernistycznych. Z całej tej sprawy jeden jest owoc dobry, mianowicie wielkie i ogólne zainteresowanie się poglądami religijnemi, a to daje Kościołowi dobrą sposobność do przysporzenia wyznawców.

### Proces o ewolucję w Dayton.

Proces ten był wydarzeniem o doniosłości daleko większej, niż sądzili ci, którzy nie znali głębszych przyczyn, leżących na dnie jego. Z wierzchu był to tylko proces jakiegoś nie wiele znaczącego nauczyciela szkoły średniej o naruszenie głupiego prawa. W rzeczywistości i podstawowo był to epizod i to ważny, w walce między siłami rozkładowemi, które chciały użyć ewolucji jako potężnej broni przeciw wierze i powadze Biblji, a między prawowiernymi protestantami, którzy usiłowali zachować resztki prawdy. Na nieszczęście protestanci usiłowali użyć państwa, by przeprowadzić swoje własne wyjaśnienie Biblji, a liberalni całkiem prawomocnie odwołali się do podstawowych zasad wolności, jaką daje konstytucja amerykańska. Toteż zachowanie się katolików było tu różne od jednych i od drugich. Stanęli po stronie protestantów przeciwko materjalistom, którzy utrzymują, że ewolucja materjalistyczna jest faktem udowodnionym, a znowu stanęli przeciw protestantom, którzy w rzeczach wiary odwoływali się do zasady o zwierzchnictwie większości. Proces śledziła z jaknajwiększem napięciem cała prawie ludność protestancka, rozumiała ona bowiem dobrze, jak ważne następstwa pociągał on za sobą. Wynik musiał być oczywiście nie rozstrzygający, a proces ten dostarczył tylko ewolucjonistom sposobności do tego, by głębiej wtłoczyć w świadomość narodową filozofję ewolucjonistyczną.

### Sprawa szkolna.

Pomiędzy swobodami, nad któremi katolicy muszą bezustannie czuwać, na pierwszem miejscu jest wolność wychowania. Początkowo w Stanach przeważna liczba instytucyj wychowawczych była w rękach różnych sekt religijnych, Katolicy zaczęli również zakładać swe szkoły powszechne, średnie i kolegjackie. Konstytucja uznała to i zagwarantowała jako prawo nienaruszalne. Lecz około roku 1845 ustanowiono system świeckich szkół publicznych pod kontrolą władz miejscowych i państwowych. System ten wzrastał i rozszerzał się tak, że obecnie stanowi on olbrzymią sieć szkół wszelakiego rodzaju, pod kontrolą władz miejscowych w każdym z czterdziestu ośmiu stanów. Rządowi związkowemu nie dano żadnej władzy nad wychowaniem, wyjąwszy tylko władzy doradczej, którą wykonuje przez biuro w departamencie spraw wewnętrznych.

W ostatnich jednak czasach wszczęto dwa potężne ruchy pod opieką wolnomularzy jurysdykcji południowej, którzy w odróżnieniu od wolnomularstwa jurysdykcji północnej, stoją w ścisłym związku z wielkim wschodem francuskim. Ruchy te podjął również Ku Klux Klan i wielu innych protestantów wojujących. Ruchy te są następujące: zaprowadzić związkowy departament wychowania i drugie przeprowadzić prawo, któreby nakładało obowiązek na każde dziecko uczęszczania do szkół publicznych. Prawo takie znosiłoby oczywiście szkoły katolickie.

Rzeczywiście uchwalono to prawo przez plebiscyt w stanie Oregon. Natychmiast dwie prywatne szkoły, jedna katolicka i jedna protestancka, rozpoczęły proces twierdząc, że prawo to jest przeciwne konstytucji. Trybunał najwyższy Oregonu orzekł, że jest ono przeciwne konstytucji, i odwołano się do najwyższego trybunału w Stanach Zjednoczonych, który w takich sprawach rozstrzyga. W czerwcu r. 1925 trybunał ten najwyższy orzekł, że wszystkie takie prawa są niezgodne z konstytucją.

Było to jedno z największych zwycięstw, jakie kiedykolwiek katolicy odnieśli w walce o zatrzymanie swych swobód. W obronie sprawy przytaczali katoliccy prawnicy zasadę, że prawo rodziców do kierowania wychowaniem swych dzieci jest prawem naturalnem i nienaruszalnem, które jest wcześniejsze, niż państwo, i rzeczywiście jest zagwarantowane przez Konstytucję Stanów Zjednoczonych. Tę zasadę formalnie i wyraźnie wcieliło orzeczenie trybunału do prawodawstwa Stanów Zjednoczonych.

Drugi projekt wolnomularzy, by ustanowić wydział wychowania w rządzie związkowym, jest obecnie przedmiotem dyskusji. Niektórzy katolicy są skłonni do przyjęcia tego wniosku, lecz inni, dalej widzący, uważają go tylko za pierwszy krok, zmierzający do odebrania kontroli nad wychowaniem miejscowym władzom w czterdziestu ośmiu stanach, iześrodkowania jej w Waszyngtonie. Walka właśnie się zaczyna, lecz zdaje się, iż niema wątpliwości, że katolicy walcząc wytrwale zjednoczonemi siłami, także i na tym punkcie odniosą zwycięstwo. (Dok. nast.)

—o—

## SKAUCI A KATOLICYZM.

Jest to ogromnie pocieszającym, lecz zupełnie naturalnym objawem, że ten tak potężny a pożyteczny ruch skautowski cieszy się w najbardziej uświadomionych sferach katolickich żywem poparciem i uznaniem. A dzieje się to nietylko w krajach katolickich, gdzie wszyscy prawie skauci są katolikami, ale także tam, gdzie katolicy stanowią mniejszość w narodzie. A przedewszystkiem w Anglji, tej kolebce i przewodniczce ruchu skautowego.

Znamiennym objawem pod tym względem i zapowiedzią jeszcze ściślejszego porozumienia między katolikami a światową organizacją skautowską jest wspaniałe, przez najwyższych dostojników katolickich, świeckich, i duchownych, urządzone zgromadzenie dnia 9-go lutego b. r. w Londynie. Zgromadzenie to zwołała katolicka rada doradcza w brytyjskiej głównej kwaterze skautowskiej w Londynie. Chodzi mianowicie o to, by z jednej strony propagować, poprzeć i ożywić ruch skautowski pośród katolików angielskich, a z drugiej zespolić i zjednoczyć usiłowania czynione już dotąd w tym kierunku.

Jak poważnie na tę sprawę zapatrują się tamtejsi katolicy, widać z tego, że patronem tej rady wybrano moralną głowę kościoła katolickiego w Anglji, arcybiskupa londyńskiego, ks. Kardynała Bourne, prezydentem został obrany wicehrabia Fitz Alan, skarbnikiem Lord Campden, a do rady jako członkowie weszli między innymi dwaj biskupi, cały szereg katolików, należących do najwyższej arystokracji, wysocy wojskowi, i cały szereg wybitnych duchownych i świeckich.

Głównym celem nowej Rady, jak wyjaśniał jej prezydent, jest poparcie ruchu skautowskiego „Boy Scout Movement“ między katolikami, zcentralizować urządzenie oddziałów skautowskich, i zyskać poparcie od kolegów i szkół katolickich w przygotowaniu przywódców skautowskich i obmyślaniu miejsc odpowiednich na obozy skautowskie, położonych w pobliżu kościołów katolickich.

Lord Fitz Alan zaprzeczył energicznie zarzutowi, jakoby ruch skautowski miał dążności militarne. Nie zmierza on bynajmniej do uczynienia chło-

pców żołnierzami, chyba o tyle, o ile wytwarza wśród nich karność. Ojciec św. chwalił ruch skautowski i udzielił mu swego błogosławieństwa, jest to więc organizacja, którą katolicy powinni całem sercem popierać.

Biskup Butt podniósł, że utworzenie tej rady skautowskiej katolickiej nie ma na celu, ani teraz, ani w przyszłości, przywłaszczania sobie przez nią władzy obecnych kierowników ruchu skautowskiego. Rada ta tworzy się za zgodą i potwierdzeniem najwyższych władz skautowskich i jej działanie jest tylko doradcze. Nie czyni bynajmniej kroków separatystycznych. Organizacja skautowska dała w Anglji może poraz pierwszy sposobność katolikom do przyłączenia się do ruchu narodowego na warunkach równych z innymi, nie żądając od nich w zamian poświęcenia w niczem katolickich zasad. Rada też skautowska katolicka, która obecnie się tworzy, ma za cel, by katolicy mogli zająć należne im miejsce w tym ruchu.

Liczba skautów katolickich wzrasta.

Następnie złożył krótkie sprawozdanie o ruchu skautowskim dyrektor międzynarodowego biura skautowskiego. Oświadczył on, że skauci całego świata oczekują od Anglji, kolebki tego ruchu, kierownictwa. Skautów uznano urzędowo w trzydziestu dziewięciu państwach rozmaitych, i skauci wszystkich krajów są w ścisłej łączności z kwaterą główną w Anglji. Z takiem samem usposobieniem patrzą na Anglję skauci katoliccy zagranicą. W ostatnich czasach pojawiły się usiłowania między katolikami, zmierzające do utworzenia odrębnych organizacyj, dlatego też obecny przykład utworzenia rady katolickiej w Anglji, ma niezmierną wagę i znaczenie. Najnowsze dane statystyczne wykazują, że obecnie jest wszystkich skautów chłopców na świecie 1,800.000. i właśnie w krajach katolickich jest obecnie przyrost największy.

—o—

## NAWRÓCENIA ŻYDÓW W HOLANDJI.

*Mniej więcej od roku można* zauważyć w Holandji nowy ruch, zmierzający do nawrócenia Izraela. Rzadko się zdarza, by jakaś akcja w tak krótkim czasie tak wielkie przybrała rozmiary i przedstawiała się tak obcująco nawet na najbliższą przyszłość. Pożyteczną tedy rzeczą będzie, także z punktu widzenia historycznego, opisać pokrótce początek tego ruchu.

Pierwszą jego pobudką był konwertyta izraelicki, redaktor „Maasbode" (Posłaniec z nad Mozy) w Londynie, J. H. Boas. Już w r. 1923 ogłosił on w tem piśmie dwanaście artykułów o londyńskiej „Lidze katolickiej dla Izraela", a mniej więcej w rok później w styczniu 1925 wydał książkę p. tyt. „Godzina Izraela", która ogólnie zrobiła duże wrażenie i wszędzie została dobrze przyjęta. Było to wezwanie do katolickich współwyznawców z Holandji, by wśród pięknie zakwitającego dzieła nawracania nie zapominać o ludzie izraelskim, współplemieńcach autora.

W miesiąc później ogłosił jezuita. G. A. de Jong w dzienniku „De Maasbode“ serję artykułów p. tyt. „Dlaczego nie Żyd?“, która zwróciła powszechną uwagę, przedewszystkiem tych, którzy zajmowali się apostolatem wśród Żydów. Można je w kilku słowach tak streścić: Żyda można nawrócić, jakże się więc dzieje, że pomimo tylu przyczyn, dla których możnaby właśnie zająć się szczególnie nawracaniem Żydów, akcja nawracania ich tak długo nie była podejmowana; co zrobili i co robią w tej sprawie protestanci, co robimy my katolicy?

Skutkiem tych artykułów, — które w jesieni ukazały sie w postaci broszury — było założenie w Stowarzyszeniu apologetycznem Piotra Kanizego wydziału, wyłącznie mającego za cel nawracania Izraela.

Prawie równocześnie z artykułami O. de Jong ukazały się w dzienniku „De Tijd“ (Czas) dwa artykuły prof. Keuleurs, p. tyt. „O żydzie nawróconym i żydzie nienawróconym“, które bezpośrednio nawiązywały do powyżej wspomnianej książki Boas'a. W piśmie „De Beiaard“ ukazał się artykuł innego konwertyty żydowskiego, pod pseudonimem „Juda“, „Z życia Żyda“. Wezwanie do działanie odbiło się żywym oddźwiekiem także w wielu mniejszych i większych pismach, jak „Posłaniec Boskiego Serca“, „Triumf Krzyża“, szczególnie zaś „Maasbode“ położył dużo zasług w tej akcji.

Ta rozbudzona potrzeba nie ograniczyła się jednak dzięki Bogu jedynie do prasy. Ilość członków Arcybractwa Modlitwy dla nawracania Izraela wzrosła gwałtownie. Arcybractwo to, z główną siedzibą w Paryżu, (kapłani i siostry z Notre Dame de Sion) miało w Holandji w Eysden oddział w klasztorze Urszulanek, i liczyło w grudniu 1924 tylko 1000 członków, podczas gdy z początkiem r. 1925 było ich prawie 50.000. Kongregacja ta rozpostarta jest po całym świecie, zwłaszcza w krajach mających większe centra żydowskie, jak Londyn, Wiedeń, Konstantynopol, Jerozolima, Tunis. Poświęca się ona nawracaniu Żydów i zajmuje się też nauczaniem. Otóż kongregacja ta wydała broszurę rozdawaną za darmo, „Także Izrael jest powołany“, której celem było zaznajomić członków i zelatorów z tem Arcybractwem, aby członkowie ci stali się nietylko „numerandi“ ale i „pondrand“, to znaczy, ażeby nietylko wzrastała liczba członków, lecz także ich wpływ i znaczenie.

Niedawno też wydał „Juda“ małą książeczkę ludową „Żyd albo nie? a jeśli tak, to...“ Małem tem, lecz znaczącem pismem rozpoczyna się nowy okres w apostolacie wśród Żydów z Holandji.

Żydów jest w Holandji prawie 115.000. Wielu z nich popadło z winy panujących obecnie wśród społeczeństwa poglądów w niewiarę, w pewien rodzaj ateizmu, a wielu zaś innych, których serca w ateizmie spokoju nie znalazły, stało się nieszczęśliwymi szukającymi, i tych właśnie przyjaźnie wyciągnięta ręka może przywieść do Chrystusa i Jego Kościoła. Któżby im nie oddał chętnie tej miłosnej przysługi, na chwałę dusz nieśmiertelnych i ku czci wiecznego Boga?

*„Studien“*

—o—

ŚMIERĆ KARDYNAŁA HISZPAŃSKIEGO. Kardynał Beulloch y Vivo umarł w Madrycie dnia 14 lutego po krótkiej chorobie, w 62 roku życia. Urodzony w Walencji dnia 29 grudnia 1864 r., został mianowany tytularnym biskupem Minji w 1901 r., biskupem Urgeli 1906, a arcybiskupem w Buogos w 1919 r. W r. 1921 papież Benedykt XV mianował go kardynałem kapłanem z tytułem Santa Maria in Ara coeli.

LEGENDA O ŚMIERCI KARDYNAŁÓW Śmierć jeszcze dwóch kardynałów, która nastąpiła tak szybko po zgonie Kardynała Mercier, przypomniała wielu ludziom starą tradycję, że kardynałowie zawsze umierają w grupach po trzech. Przesąd ten utrzymuje się stale, a fakty potwierdzają go pozornie. Kardynał Logue umarł w listopadzie 1924 r., a śmierć kardynałów Giorgi i Bégina wydarzyła sie w ciągu następnego grudnia i czerwca, to znaczy w ciągu ośmiu miesięcy.

Zdarza się, że taka przerwa bywa jeszcze krótsza. Trzech np. kardynałów zmarło miedzy 4-ym czerwca a 10 sierpnia 1923, a trzech pomiędzy 8-mym grudnia 1922 r. a 4-ym lutego 1923. Kardynał Gibbons umarł w marcu 1921 r., a po nim nastąpiła śmierć dwóch innych kardynałów w sierpniu i we wrześniu tego samego roku.

Fakty te jednak nie mogą dawać powodu do zabobonnego tłumaczenia. Kardynałów jest mniejwięcej koło sześćdziesięciu, ktorych wiekszość ma przecietnie około sześćdziesieciu lat. Przypuszczalnie każdy ma przed sobę piętnaście lat życia, zatem przeciętna liczba śmierci rocznych winna osiągać cyfrę czterech, co odpowiada istocie rzeczy.

NIEZWYKŁE POWOŁANIA. Wybitny pisarz i poeta katolicki niemiecki, Bernard Barth, ktory tłumaczył poezje papieża Leona XIII i brał czynny udział w życiu katolickiem Niemiec, tak, że na wielkim kongresie katolickim w Strassburgu w r. 1904 był prezesem sekcji prasowej — wstąpił obecnie do klasztoru kapucynów w Zell am Harmersbach w Badenie, a jego żona przyjeła welon zakonny w klasztorze franciszkanek. Troje ich dzieci już są członkami zgromadzeń zakonnych, syn Bernard jest benedyktynem, starsza córka zakonnicą u sióstr Nauczania Katolickiego, a druga córka jest benedyktynką.

Dwóch dawnych pastorów protestanckich, jeden 75 letni, drugi 62 letni, otrzymało w Londynie święcenia kapłańskie z rąk Kardynała arcybiskupa Bourne. Są nimi księża J. Dale i Ernest Edmund Kilburn, dawny pastor w Hoxton. Obydwaj studiowali przez pewien czas w St. Charles's House, ks. Kilburn jako dawny wikary w Hoxton służył podczas wojny na okręcie szpitalnym jako kapelan. Nawrócił się w r. 1922 i udał się do St. Charle's House. Na Boże Narodzenie 1923 wstąpił do nowicjatu oratorjanów i tam podczas roku otrzymał niższe świecenia, subdjakonat i diakonat. Gdy odprawiał pierwszą swą Mszę św. przy ołtarzu św. Filipa u oratorjanów, służył mu do niej dawny jego proboszcz A. Holland, który także już jest konwertytą i odbywa swe studja u oratorjanów. Póżniej otrzymał Antoni Holland także tego dnia dwa niższe święcenia wraz z ks. Juvenal Mathew z rąk biskupa Bidwell. Księdzu Kilburn asystował oratorjanin, O. Talbot. Na tę uroczystość przybyły dwie jego siostry oraz kilku przyjaciół nie katolików. Po Mszy św. zebranych dopuszczono do zakrystji, do ceremonji ucałowania rąk.

Ks. Dale ma lat 76, jest wdowcem, żona jego umarła kilka lat temu.

Tej samej niedzieli miał podczas nabożeństwa wieczornego kazanie ks. Woodruff oratorjanin, także konwertyta, na temat rzeczywistości i żywotności prawdziwego kapłaństwa w Kościele katolickim.

Z Brukseli znowu donoszą, że córka króla belgijskiego, która miała wyjść za królewicza belgijskiego, zmieniła tymczasem postanowienie i oddała swe serce innemu Królowi. Opuściła pałac królewski i wstąpiła w nizkie progi karmelitanek bosych

STATYSTYKA TOWARZYSTWA JEZUSOWEGO. Zakon Tow. Jezusowego liczył z początkiem r. 1925 na całym świecie członków 19.176, wciągu roku t. zn. od r. 1924 przybyło ich 458. W tej liczbie jest kapłanów 9.159, kleryków 5.768, zaś braci 4.249. Polska prowincja liczy 576 członkow, z czego kapłanów 230. Na czele Zakonu stoi dożywotni generał, mieszkający w Rzymie. Obecnie jest nim, jak wiadomo polak, O. Włodzimierz Ledóchowski, wybrany generałem zakonu 11 lutego 1915. W roku bieżącym liczy on 60-ty rok życia (ur. w październiku 1866 roku).

Zakon cały podzielony jest mniej więcej według narodów i państw na 34 prowincyj. Prowincja polska, jedna z większych zakonu, liczy 27 domów zakonnych, rozrzuconych w Polsce, a prócz tego ma trzy terytorja misyjne, to jest misję wschodnią, Rodezję i Rumunję.

MARKI ŚW. FRANCISZKA. We włoszech wydano nową serję marek pocztowych ku uczczeniu siedmsetletniej rocznicy śmierci św. Franciszka z Assyżu. Jest ich pięć, wartości od 20 centimów do 5 lirów.

Pierwsza przedstawia widok Jerozolimy, druga klasztor św. Damiana koło Asyżu, trzecia Sacro Convento i Bazylikę św. Franciszka, czwarta odmalowuje śmierć Świętego, a piąta jest kopją podobizny Świętego podług Luca della Robbia, wraz z kaplicą Porcjunkuli, służącą za tło. Rysunki dają miarę wielkiego talentu artysty, któremu powierzono wykonanie.

STULECIE OBLATÓW NIEPOKALANEGO POCZĘCIA NAJŚW. MARJI PANNY. Stuletnia rocznica zatwierdzenia misjonarskiego zakonu Oblatów Niepokalanego Poczęcia Najśw. Marji Panny przez papieża Leona XII wypadła na 17 lutego b. r. W chwili śmierci fundatora zakon liczył 361 kapłanów, dziś liczba księży, uczniów i świeckich braci wynosi 2.901. Oblaci mają całkowitą władzę w swych misjonarskich diecezjach, których terytorjum sięga trzech czwartych Europy. Mogą oni rościć sobie pretensję do biegu na północnego, bowiem piskup Braynat O. M. I. zarządza wikarjatem apostolskim Mackenzie, najdalej ku północy wysuniętą placówką kościelną.

## FILOZOFICZNE POGLĄDY KS. KARDYNAŁA MERCIERA NA PRAWDĘ I PEWNOŚĆ.

### I.

Filozofja neoscholastyczna. — Kryterjologja i jej zadanie. — Prawda i pewność. — Wyjaśnienie problemu o pewności. — Problem kryterjologiczny. — Psychologja pewności. — Sceptycyzm i dogmatyzm. — Dogmatyzm umiarkowany. — Pewność refleksyjna.

### Filozofja neoscholastyczna.

Ks. Kardynał Mercier należy do najwybitniejszych filozofów obecnych czasów, jest on nietylko przedstawicielem, ale jednym z twórców filozofji, która coraz większe zdobywa znaczenie. Jest to filozofja neoscholastyczna, będąca rozwojem scholastycyzmu wieków średnich. Nie jest ona jednak jakiemś wskrzeszeniem filozofji, która już prawie wyszła z drogi obecnej myśli ludzkiej, lecz jest raczej przywróceniem owej philosophia perennis, która wypracowana przez Greków i do najwyższej doskonałości doprowadzona przez wielkich mistrzów średniowiecznych, zwłaszcza św. Tomasza z Akwinu, całkowicie nie wygasła nigdy. Neoscholastycyzm stara się przywrócić zasadnicze doktryny scholastycyzmu, wychodząc z zasady, że to, co było prawdą 700 lat temu, jest prawdą i dzisiaj. Stosuje on jednak, zgodnie z tem adagium vita in motu, zasady i doktryny klasycznej scholastyki do dzisiejszych potrzeb intelektualnych.

Zwróciwszy raz swą uwagę na nowy sposób myślenia, neoscholastycyzm znalazł się wobec problemów, o których średniowiecze nie miało najmniejszego pojęcia, lub nie dawało ich rozwiązań. W ten sposób neoscholastyka zmuszoną była utworzyć cały szereg nowych rozdziałów, a nawet kilka działów filozofji, a do nich należy właśnie kryterjologja.

Kryterjologja neoscholastyczna jest czemś całkiem nowem. Klasyczny scholastycyzm zajmował się problemem pewności ze stanowiska deduktywnego. Bóg mianowicie nie mógł zniekształcać władz, któremi obdarzał umysł człowieka, by tenże był zdolny do osiągnięcia wiedzy. Neoscholastycyzm natomiast posługuje się metodą introspekcyjną i analizą. Stawia problem w wyrazach, które od czasów Kanta są jedynie dopuszczalnemi w tym problemie. Lecz odmiennie od krytycyzmu Kanta znajduje rozwiązanie tego problemu w umiarkowanym dogmatyzmie.

Jak już wspomnieliśmy, Kard. Mercier jest jednym z głównych twórców kryterjologji neoscholastycznej, która też najbardziej może streszcza i charakteryzuje jego działalność filozoficzną. W owej kryterjologji tworzy on oddzielną szkołę, za którą idzie bardzo wielu neoscholastyków najwybitniejszych, a której główną charakterystyką jest odrzucenie apriorystycznego przyjęcia zasad tkwiących na dnie czynności poznania i przyjęcie, jak poniżej zobaczymy, za ostateczne kryterjum prawdy -- bezpośredniej oczywistości.

Po tych wstępnych uwagach przystąpmy do samej kryterjologji.

## Kryterjologja i jej zadanie.

Kryterjologja według definicji, przyjętej także przez ks. Kardynała Mercier, jest to nauka zajmująca się badaniem naszych poznań, które uważamy za pewne, i podstawy, na której pewność ta się opiera. Nazwa ta pochodzi od słowa greckiego *krino* (rozróżniam), a ponieważ kryterjum prawdy jest sposobem dla rozróżniania fałszu od prawdy, wyraża ta nazwa kryterjologji choć nie jedyną, jednak główną myśl tej nauki.

O ważności jej zapewniać nie potrzeba. Jeśli bowiem nie potrafimy stwierdzić, że rozum nasz rzeczywiście poznaje prawdę, że świat zewnętrzny istnieje rzeczywiście. i że poznajemy go prawdziwie, jeśli o tem wszystkiem nie możemy mieć spokojnej, świadomej pewności, to jakże ustrzeżemy się od tego wszystko niszczącego sceptycyzmu, który od czasu ukazania się sceptycznej filozofji poznania Kanta, musi nas logicznie zaprowadzić do nihilizmu życiowego.

Kryterjologja — zwana także epistemologją (wyraz *episteme* po grecku znaczy poznanie), bada zatem pewność, która jest własnością czynności umysłowych, ma związek z psychologją.

Dzielimy kryterjologję na ogólną i szczegółową. Ogólna bada pewność wspólną wszelkiemu poznaniu, szczegółowa, różne poszczególne rodzaje poznania umysłu.

### Prawda i pewność.

Przedmiotem kryterjologji jest, jak widzieliśmy, pewność. Pewność oznacza stan, w którym znajduje się umysł, gdy wie, że poznaje prawdę. Musimy przedewszystkiem zastanowić się nad terminami, które ta definicja zawiera, zbadać, co to jest prawda, co znaczy poznać prawdę, co znaczy mieć świadomość, że się poznaje prawdę, czyli, że się ma pewność.

Prawdę w języku potocznym przypisuje się zarówno przedmiotom, rzeczom, jak i poznawaniu rzeczy. Mówimy „prawdziwe wino“ i „prawdą jest, że 2 a 2 jest 4“. Jakiś płyn jest „prawdziwem winem“, gdy stosuje się do definicji, przez którą wyrażamy naturę prawdziwego wina. Ogólnie mówiąc prawdziwą jest rzecz wtedy, gdy jest zgodną z typem, według którego wyobrażamy sobie jej naturę.

Zatem prawda jakiejś rzeczy jest to zgodność tej rzeczy z jej naturą, którą to naturę umysł jakiś zna. Gdy chodzi o rzeczy naturalne, brane z przyrody, to tym umysłem jest umysł Boga.

Prawda, jako własność rzeczy, którą poznajemy, nazywa się prawdą objektywną czyli ontologiczną.

W pierwszym rzędzie jednak pod prawdą rozumiemy prawdę poznania, która nazywa się prawdą logiczną. Prawda logiczna polega na stosunku zgodności sądu umysłu z rzeczą.

Pewność, to stanowcza, refleksyjna, to znaczy z zastanawianiem się powzięta zgoda umysłu na prawdę, która to zgoda powstaje pod wpływem intuicji wieczności bezpośredniej, stosunku tożsamości lub zgodnosci między dwoma terminami czyli między podmiotem i orzeczeniem zdania.

Pewność jest stanem poznającego.

Niema pewności, bez poznania prawdziwego, gdyż ona wytwarza się w umyśle tylko wtedy, gdy coś jest wprost widoczne.

### Wyjaśnienie problemu o pewności.

Wszyscy, także i sceptycy, przyznają, że istnieje pewność samorzutna, jako fakt subjektywny, chodzi o to, czy możemy ją usprawiedliwić refleksyjnie, rozwagą i zastanowieniem. Zanim to rozważymy, trzeba przedewszystkiem ustalić, jak określimy nasz problem.

Od czasów Descartesa zagadnienie o pewności formułuje się w sposób fałszywy, mianowicie stawia się pytanie, czy rozum ludzki może poznać rzeczy tak jak są, innemi słowami, czy możemy mieć świadomość, że nasze pojęcia są zgodne z rzeczywistością, to znaczy z przedmiotami przyrody i w jaki sposób może rozum się przekonać o tej zgodności.

Taki sposób formułowania Kard. Mercier odrzuca, po pierwsze dlatego, że jest niezupełny, po drugie, że paczy problem prawdy. Niezupełny jest mianowicie dlatego, że przeważna a z pewnością najważniejsza część naszego poznania odnosi się nie do zewnętrznej rzeczywistości, ale do stosunków między przedmiotami, nie zwracając uwagi na ich przypadłościowe istnienie. Takiemi są naprzykład wszystkie twierdzenia matematyczne. Formułowanie tedy zagadnienia według Descartesa usuwa zagadnienie pewności od wszystkich prawd abstrakcyjnych. Paczy zaś problem prawdy dlatego, że chcieć uznawać rzeczy tak, jak są, to znaczy chcieć zaprowadzić absolutną zgodność między poznawaniem a przedmiotem takim, jak istnieje w przyrodzie, niezależnie od wszelkiego poznania.

Tymczasem wszelki przedmiot w przyrodzie. gdy go rozważymy niezależnie od poznania, nie istnieje dla nas, jest niczem. Jest więc absurdem porównywać wyobrażenie do rzeczy samej w sobie.

Poznanie, to czynność wewnętrzna, immanentna, która zatem z konieczności jest złączona z naturą poznającego. Szukać zgodności równoważnej między wyobrażeniem przedmiotu a przedmiotem tym samym w sobie, to znaczy chcieć poznania, w któremby nie brał udziału ten, który poznaje. Znaczyłoby to chcieć znać bez poznawania.

Błąd stąd pochodzi, że się zapomina, iż prawda należy właściwie do sądu, a nie do pojęcia. Znać prawdę nie znaczy to znać tożsamość pojęcia i przedmiotu przedstawionego przez pojęcie, ale to znaczy znać tożsamość między podmiotem i orzeczeniem zdania, między podmiotem właśnie pochwyconym a cechą abstrakcyjną, znaną dawniej.

### Problem kryterjologiczny.

Problem ogólny kryteryologji zajmuje się kontrolą naszej zgody samorzutnej, naszych sądów samorzutnych. A ponieważ kontrola musi się odnosić zarówno do formy, jak i do treści sądu, trzeba rozpatrzeć i formy i treść tych sądów samorzutnych.

### Psychologja pewności. — Sceptycyzm i dogmatyzm.

Zanim przystąpimy do ostatecznego rozstrząsania i rozwiązania problemu pewności, musimy najpierw rozważyć stan umysłu, który zaczyna badać ten problem. Mamy pod tym względem dwa przeciwne stanowiska: sceptyków i dogmatystów. Sceptycy mówią, że należy z góry wątpić o zdolności umysłu poznania prawdy, dogmatyści zaś twierdzą, że z góry należy umysłowi przypisać tę zdolność. Sceptycy są albo zupełni albo metodyczni. Zupełnymi są ci, którzy wątpią zupełnie w prawdziwość poznania i twierdzą, że ponieważ mylimy się często, więc należy przypuszczać, że zawsze się mylimy, zatem należy wątpić we wszystkie nasze poznania. Drugim ich ar-

gumentem jest to, że by przyjąć jakieś zdanie za pewne, trzeba je udowodnić innem zdaniem, a to znowu innem i tak dalej musielibyśmy iść aż w nieskończoność.

Sceptycy metodyczni zaś z Descartesem na czele podają w wątpliwość wszystko właśnie w tym celu, by dojść do pewności. Zaczynają od wątpienia w czynności zmysłów w świadomość, rozum, wreszcie w zdolność dojścia do prawdy ze względu na zepsutą naturę ludzką lub możliwość istnienia bóstwa, które chce ludzi oszukiwać.

Co do sceptyków zupełnych nie wystarczy dla nich argument, że są w sprzeczności ze zdrowym rozumem, ani też, że sprzecznem jest twierdzić na pewne, że niema niczego pewnego. Ale zasadniczy ich błąd polega na tem, że przyjmują oni z góry, a priori i dowolnie niezdolność rozumu do osiągnięcia prawdy. O tę zdolność właśnie chodzi w sporze między sceptykami a dogmatystami. Sceptycy z tego, że się często mylimy, wnioskują, że się zawsze mylimy, i tak chcąc zbyt wiele dowieść, niczego nie dowodzą. Bo przecież z tego, że się często mylimy, wynika tylko, że musimy ostrożnie wypowiadać nasze twierdzenia. Drugi argument, który oni podają za niezdolnością umysłu do osiągnięcia prawdy, niesłusznie twierdzi, że dla udowodnienia jakiegoś zdania, potrzeba kryterjum leżącego poza tem zdaniem. Zobaczymy później, że bardzo często czynność umysłu, przez którą orzeczenie zostaje złączone z podmiotem, sama siebie sprawdza, więc nie potrzebuje zewnętrznego kryterjum.

W teorji Descartesa zaś są dwa zasadnicze błędy. Pierwszy, że słynne jego powiedzenie „myślę więc jestem“ (cogito ergo sum) jest nielogiczne, bo jeśli chcę wątpić we wszystko, to powinienem wątpić i w to, że myślę i nie mam żadnej podstawy do udowodnienia tego, że myślę. Wątpienie Descartesa jest zupełnem, nie metodycznem, niepodobna z niego wyjść bez nielogiczności.

Descartes zatem źle czytał w swej świadomości; wątpienie choć jest możliwe i potrzebne wobec niektórych prawd, nie może rozciągać się do wszystkiego, a mianowicie do zdań bezpośrednio oczywistych. Istnieją zdania tak proste, że natychmiast po poznaniu ich terminów, to znaczy podmiotu i orzeczenia, poznajemy związek tych terminów między sobą, np. gdy mówimy „całość jest większa od części“. Do zdań tak oczywistych wątpienia rozciągać nie można.

Drugi błąd Descartesa, to hipoteza bóstwa, które ludzi obdarzyło zdolnością poznania fałszywą, nie odpowiadającą rzeczywistości. Hipoteza ta nie może być podstawą wątpienia powszechnego, umysł bowiem zdolny jest do rozwagi nad swemi czynnościami, więc nic, nawet bóstwo oszukańcze,

nie może mu przeszkodzić w spostrzeganiu związku tożsamości lub nietożsamości między dwoma terminami.

Stanowisko znowu dogmatyzmu przesadzonego jest odwrotne. Żąda on przyjęcia istnienia trzech prawd pierwotnych przed wszelkiem badaniem, a są niemi mianowicie: 1. istnienie umysłu, który bada (pierwszy fakt), 2. zasada sprzeczności (pierwsza zasada), 3. zdolność rozumu do poznania prawdy (pierwszy warunek). Te prawdy są pierwotne w tem znaczeniu, że nie można ich dowieść, przyjęcie ich ma wyprzedzać wszelkie dowodzenie filozoficzne. Nie można im zaprzeczyć, bez równoczesnego ich stwierdzenia. — Tymczasem w problemie kryterjologji nie chodzi wcale o stwierdzenie tego. Owszem zgoda umysłu samorzutna i konieczna na te trzy prawdy jest faktem psychologicznym. Zagadnieniem zaś jest natura tej konieczności, czy ją stwierdzamy na ślepo czy też motywujemy ją sobie objektywnie? Nie można zatem przyjmować z góry ani niezdolności ani zdolności umysłu do poznawania prawdy.

### Dogmatyzm umiarkowany.

Dogmatyzm umiarkowany, którego naucza właśnie kardynał Mercier, zajmuje odnośnie do naszych zdolności poznania stanowisko wyczekujące, nie przeczy ani nie twierdzi, czy rozum jest zdolny do poznania prawdy. Zanim coś będzie można orzec o tej zdolności rozumu — mówi on — trzeba najpierw poznać wartość jego czynności. Pierwszym i bezpośrednim przedmiotem naszej refleksji nie będzie więc ta zdolność, lecz dosięgamy jej dopiero badając czynności rozumu. Jeśli refleksja pokaże nam, że te wyniki tych czynności rozumu tj. idee i sądy są zgodne z rzeczywistością, wtedy będziemy mieć prawo do wnioskowania, że rozum zdolny jest do poznania prawdziwego. Możemy tu przytoczyć przykład żołądka: dowodem, że zdolny jest do dobrego trawienia, jest tylko to, iż dobrze trawi. Taki sposób postępowania będzie oparty na obserwacji, zatem będzie prawdziwie postępowaniem naukowem.

### Pewność refleksyjna.

Co się zaś tyczy sądów, czyli czynności umysłu, które mogą zawierać prawdę, może umysł stać albo na stanowisku wątpienia, mianowicie wtedy, gdy nie zobaczy natychmiast bezpośredniej oczywistości sądu, albo też na stanowisku pewności, a to wobec sądów o bezpośredniej oczywistości.

Taką samorzutną pewność umysłu uznają także sceptycy. Więc punktem wyjścia dla problemu pewności są fakta, nawet przez sceptyków przyznane, usunąć ten punkt wyjścia, to znaczy usunąć zagadnienie pewności. (D. n.)